



Mirosław Derecki

Z CZYM DO WIDZA?

Wilgotna ciemność ogarnia Nałęczów, dano na sen ulicznym latarniani, kierowcy klną, staruszki na przejściach tracą głowę, w wieczornej mgle, ledwie rzeźbi orkiestra w „Przepióreczce”. I nawet neon kina „Cisy”, tej miejscowej świątyni ułudy, sprawia wrażenie jakby za chwilę miał skonać. „Najlepsze te mała kina...” rozrzewniał się kiedyś Konstanty Ildefons. Dzisiaj małe kina marzą rzewnie o minionych, lepszych czasach. Przed kasą kina „Cisy” w Nałęczowie jest sennie i pustawo. „Mój Boże, żeby tak nam dali do wyświetlania „Trędowatą”! - Wzdycha kierowniczką.

„Trędowata” – nieważne czy przedwojenna, czy „współczesna” w Hoffmanowskim wydaniu, z Elżbietą Starostecką i Leszkiem Teleszyńskim w głównych rolach - to znaczy; pełna widowia i wykonany miesięczny plan sprzedaży biletów. Nałęczów ma specyficzną publiczność: większość widzów stanowią kuracjusze, ludzie najczęściej starsi. A że poważnie schorowani, sercowcy, najchętniej wspominają piękne lata - i filmy - swojej młodości. Grymaśni są przy tym niezwykle: ta komedia jest dla nich za mało wesoła, tamten dramat za bardzo przygnębiający, lubią, żeby w kinie panowała atmosfera familijną, żeby można było poradzić się kasjerki, co do wyboru miejsca na sali, a z kierowniczką po rozprawiać na temat filmu przy wyjściu z kina. Najchętniej chodziliby na „Znachora” i „Profesora Wilczura”, na „Ordynata Michorowskiego”, „Trędowatą” i „Wrzos” - ale te przedwojenne filmy, wznowione przy udziale Filmoteki Polskiej, wrywają sobie wszystkie kina, szczególnie teraz, gdy z repertuarem bieżącym coraz gorzej, i gdy tylko sentymentem można spróbować zagłuszyć brak konkretności.

Ludzi młodych można jeszcze przyciągnąć powtórkami znajdującej się wciąż „na składzie” „Wiernej żony” Vadima ze wszystkimi jej goliznami i (dopuszczalnymi przez polską cenzurę) perwersjami, a dzieci szkolne można wabić przygodami „Czerech Pancernych i psa”. Ale w końcu gdzieś przecież istnieją granice wytrzymałości widowni na oglądanie w kółko zarówno upadłych piękności, jak i bohaterskiego Szarika. Kierowniczką kina „Cisy” nie ma złudzeń: w 1979 roku, w miesiącach letnich, w pełni sezonu, miesięczny utarg ze sprzedaży biletów wynosił ponad dziewięćdziesiąt tysięcy złotych; w tych samych

miesiącach roku 1980 - tylko czterdzieści osiem tysięcy! „A co będzie dalej, jak nie będziemy mieli atrakcyjnych nowości w repertuarze?!”

Kino nałęczowskie ma przynajmniej swoją „stałą” publiczność sanatoryjną. O wiele trudniej zapełnić widownię kina „Opolanka” w leżącym o kilkadziesiąt kilometrów od Nałęczowa - Opolu Lubelskim. Kierownik Paluch pracuje w swoim fachu od ponad czterdziestu lat, jeszcze od czasów, gdy kino „Opolanka” nosiło dumne, „herbowe” imię „Zadora” i było własnością miejscowej dziedziczki, pani Siekierzyńskiej - ale i on, podobnie jak kierowniczką z Nałęczowa, kręci tylko głową ze smutkiem. „Panie - kino mamy teraz pierwsza klasa, gruntownie przebudowane, eleganckie, wygodne, ale, czym ja mam do niego wabić publiczność? Ludzie chcą przygody, ruchu na ekranie, kawał świata chcą w kinie zobaczyć, i jeszcze: żeby to wszystko było zrobione przez najlepszych fachowców. A co ja im dzisiaj mogę zaproponować? Przed wojną, jak w Ameryce szedł Chaplin, to i u nas wkrótce potem był Chaplin, jak w Nowym Jorku wyświetlali Douglasa Fairbanka, to myśmy w Opolu Lubelskim także oglądali Fairbanka. I nie było, proszę pana, wtedy żadnej tam telewizji i mówiło się, że Opole Lubelskie to jest głęboka prowincja. Żeby mnie tak dzisiaj dali, choć „Przeminęło z wiatrem”! Ale „Przeminęło z wiatrem” zrobili na „siedemdziesiątce” i tam się o niego biją, kierownicy kin zeroekranowych się o niego biją. W wielkich miastach, żeby plan ratować!”

I jest w tym, co mówi kierownik, dużo prawdy. Bo na przykład aktualnie ma on w swoim kinie „na tapecie” czechosłowackie filmy: „Piękna i bestia” oraz „Gra ciałem” (gra ciałem sportowym – dodam dla wyjaśnienia). I są to oczywiście interesujące obrazy, ale gdzie im tam do „Przeminęło z wiatrem” albo na przykład „Działa Nawarony”. Albo choćby do... niektórych filmów współczesnych polskich reżyserów. Bo Wajdę, Zanussiiego, Agnieszkę Holland, Kiesłowskiego czy Falka ceni się także w Opolu Lubelskim. Tylko jakże często pojawiają się te filmy na prowincji dopiero wtedy, gdy opadnie fala głównego zainteresowania, gdy przestało się już na ich temat mówić w telewizji i pisać w gazetach. „Opolanka” zajmuje drugie miejsce w okręgu w kategorii małych kin, ale może właśnie dlatego tym bardziej tutejsze kierownictwo dostrzega niebezpieczeństwo płynące z coraz mocniej rysujących się niedoborów repertuarowych. Ratunek dają jeszcze niedziele: wtedy gra się w południe bajki dla najmłodszych, o godzinie drugiej idzie film dla młodzieży, wieczorne seanse są zarezerwowane dla dorosłych. Szczególnie – dla „kawalerki” z okolicznych wsi, która – po nieszpórach – ciągnie z pannami na podbój przybytku X Muzy. Choć w niejednym domu miga kolorowy telewizor, zawsze kino to rozrywka kulturalna, wchodząca tutaj wciąż jeszcze w skład harmonogramu godnie spędzonej niedzieli. Ale zdarza się już, zdarza, że i tutaj trzeba odwoływać niektóre seanse. Szczególnie od tej pory, gdy

nauczyciele przestali prowadzić młodzież do kina, bo im za „opiekuństwo” po godzinach pracy nikt nie chce płacić, a w czasie godzin lekcyjnych oglądanie filmów zostało surowo zabronione przez kuratorium. „Jeszcze przeciętnie cztery tysiące widzów a miesiąc wyrobę – smęci się trochę obłudnie (bo i tak mu stosunkowo dobrze kino prosperuje) kierownik „Opolanki” – ale to tylko od czasu, do czasu...”

Co mam mu powiedzieć: że w leżącym po drugiej stronie Wisły Janowcu, w kinie „Nadwiślanka”, prawie w ogóle nie ma frekwencji, że „prosperuje” ono zaledwie trzy dni w tygodniu, że utrzymuje się je tylko dla zasady nie pozbawienia miejscowej ludności „rozrywki kulturalnej”, którą nota bene czerpie ona – z wątpliwym skutkiem – przede wszystkim z telewizyjnego okienka na świat? Mam pocieszać kierownika, że nie jest u niego tak źle, skoro od pewnego czasu sala puławskiej „Jodełki” świeci pustkami, a nawet reprezentacyjne kino „Sybilla” musi korygować plany rocznych „obrotów”, bo i ono zaczyna odczuwać niedobór widzów wynikający z coraz mniejszej liczby atrakcyjnych filmów otrzymywanych z lubelskiej „centrali”? Jeszcze „Rocky II” daje kasę, jeszcze „Złoto dla zuchwałych” przyciąga młodzież, a „Powrót Mechagodzilla” - dzieci w wieku szkolnym; lecz jeżeli nawet tego kiedyś zabraknie?

Nie można bazować tylko na filmach z tzw. pierwszego obszaru płatniczego, to znaczy tych, za które nie musimy płacić w dewizach, choćby były to dzieła najwyższej rangi artystycznej i jak najbardziej atrakcyjne w sensie przygodowym. Nie można - bo zostaniemy odcięci w ten sposób od szerokiej produkcji światowej, a to odbije się zarówno w naszej kulturze, jak i na naszej państwowej kieszeni. Kierownicy kin mówią - przy rozważaniu kwestii repertuaru - najczęściej o braku filmów „atrakcyjnych”, „przygodowych”, „kasowych”; krytycy i działacze filmowi biją na alarm, że nie sprowadzamy filmów ambitnych, dzieł filmowych najbardziej reprezentatywnych dla współczesnego kina. W sumie - sprowadza się to do pewnej ogólniejszej wspólnej refleksji nasz repertuar filmowy został ostatnio poważnie podcięty i cała rozległa konstrukcja „inflacyjna” zaczyna się niebezpiecznie chwiać. *W latach ostatnich - Píše Andrzej Ochalski w tygodniku „Ekran” z 14 grudnia 1980 r. — rozstaliśmy się niemal niepostrzeżenie z najlepszym repertuarem świata i dryfujemy właśnie, przy akompaniamencie dostojnych głosów urzędniczych o niemożności jakiegokolwiek drogi, ku filmowej ziemi jałowej, na ośią ławę Europy, gdzieś w pobliże krajów tak atrakcyjnych dla kinomana jak Albania. [...] Jeszcze trzy lata temu kupowaliśmy w ciągu roku z krajów „drugiego obszaru płatniczego” ponad dziewięćdziesiąt filmów. Ten „obszar” to nie tylko Zachód, ale wszystkie w ogóle kraje, którym płacimy za filmy w walutach wymiennalnych, więc także Boliwia, Algieria, Indie i Jugosławia. W roku 1980 kupiliśmy tamże 31 filmów. Z największym trudem, bo wydawało się parę miesięcy temu, że*

poprzestaniemy na kilkunastu. Zablokowano dewizowe fundusze importowe, wskutek czego nawet w przypadku opłaconej już licencji („Czas Apokalipsy”) nie mogliśmy kupić materiałów do produkcji kopii. Słysząc też, że w roku przyszłym import filmów zmniejszy się jeszcze bardziej.

Pamiętajmy, że Polska sprzedała w 1980 r. szereg dzieł naszych twórców za kwotę 8 milionów złotych dewizowych, a tylko połowa tych pieniędzy wystarczyłaby na zakup około setki „zachodnich” filmów na nasze ekrany.

Każdy ma swoje kalkulacje i swoje racje. Czytelnicy tygodnika „Film” piszą do redakcji oskarżycielskie elaboraty, że odmawia się nam możliwości obejrzenia całokształtu twórczości Kena Russella, że nie znamy prawie całego Pasoliniego, szeregu wybitnych filmów Felliniego, Rosseliniego, Bertolucciego, Ferreriego, Lumerta, Costy-Gavrea, Woody Allena, Polańskiego czy Borowczyka. Panowie od rozpowszechniania oraz kierownicy kin przyznają tym głosom rację, ale – dodają – jak ma być trzydzieści filmów rocznie to niech większość z nich będzie przynajmniej filmami „kasowymi”, żeby plan był wyrobiony. Choć szereg wymienionych wyżej autorów zapewnia na światowym rynku nie mniejszą „frekwencyjność” niż na przykład film „Tylko dla orłów”. Wysoko postawieni urzędnicy od kultury usiłują nam wytłumaczyć, że trzydzieści filmów „wybitnych” (ale pytam , dlaczego ich nie kupujemy?) zdoła zapewnić wysoki poziom i atrakcyjność repertuaru. A rzeczywistość jest taka, jak opisana na początku tego artykułu: w kinach prowincjonalnych ciągle dogorywanie „powtórek”, na ekranach kin lubelskich, w przedświątecznym tygodniu, równoczesny, zmasowany ryk „Powrotu Mechagodzilla”, „Terroru Mechagodzilla” oraz „Ebiraha potwora z głębin”. Jak tak dalej pójdzie zostaniemy przez określone bestie zaryczani na amen.

Tymczasem, w najbliższej perspektywie przyszłorocznej: „parszywa dwunastka”, „Agonta”, „Goina” (produkcji USA), „10 z Nawarony” (Wk. Bryt.), „Glina czy łajdak” oraz „Ballada o żandarmie” (Franc.), „Lato mordercy” (Hiszp.). W dalszej kolejności m.in.: włoski film „Chrystus zatrzymał się w Eboil” japoński „Sobowtór” Akira Kurosawy, remake słynnej „Ceny strachu” nakręconej przed laty przez Clouzota, „Cały ten zgiełk” („All tha Jazz”) amerykańskiego reżysera Boba Fosse’a. Nawet jeżeli dorzucimy do tego amerykańską „Ucieczkę z Alcatraz”, science-fiction „Saturn 3” oraz western produkcji USA „Jeźdźcy z daleka”, to z wyjątkiem trzech, czterech wartościowych filmów, daje to wszystko jakieś żałosne „pomieszanie z poplątaniem”. W dodatku, kilka „atrakcyjnych” filmów przeszło „poślizgiem” na rok 1981 z roku poprzedniego. Wygląda tak, jakby wszystkie możliwe racje repertuarowe zostały wrzucone do jednego mało zresztą przestronnego – worka, z którego fanty wyciąga sierotka w ciemnych okularach.

„Kasowe” czy też „niekasowe” filmy (to się jeszcze okaże) trafią na ekrany kin zeroekranowych, które z pewnością będą je eksploatowały jak długo się tylko da, nie dopuszczając do „złotej żyły” prowincjonalnych szaraczków. Ale i tak, już dzisiaj przewiduje się, że pierwsze kino Lubelszczyzny – „Kosmos” nie zdoła odbudować łatwo frekwencji sprzed kilku lat (np. w 1980 r. miało o 10 proc. tj. około 45 tys. Widzów mniej niż w 1979 r.) a np. kino „Wyzwolenie” nie podratuje już kasy „Znachorem” i „Profesorem Wilczurem” – bo wygrano je tam do ostatecznych możliwości.

Można też przypuszczać, że dojdzie do skutku zamiar dyrekcji Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Lublinie, żeby w szeregu kin w małych miastach ograniczyć liczbę seansów, a nawet dni wyświetlania filmów, co może pociągać za sobą zaproponowanie personelowi przejście na półetaty lub trzy czwarte etatu. Bo już dzisiaj panuje w niektórych kinach taka sytuacja, że po prostu szkoda marnować węgiel i energię elektryczną dla ogrzewania i oświetlania pustych sal.

Wizja może nazbyt apokaliptyczna, ale przecież rację ma kierownik lubelskiego kina „Kosmos”, gdy mówi: „zawsze, kiedy pogarsza się repertuar, najpierw dostają „po kościach kina zeroekranowe: „nowości” mają niewiele, a „powtórek” w zasadzie grać ni powinny. Jeszcze przez dwa – trzy lata trzymają się wtedy kina niższych kategorii, grające filmy powtórki: cztery, pięć, sześć razy proponować ludziom do obejrzenia ten sam film? I wtedy, po jeszcze następnym roku czy dwóch – zacznie się klęska kin małych”.

Z czym do widza? Na razie – może należy zadać sobie pytanie: z czym do kina? Bo nie tylko repertuar, ale także same kina wydają się być w niebezpieczeństwie.

Pierwodruk: „Kamena”, 1981, nr 2, s. 3